

QUILLER COUCH.

## SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

25)

Słuchając go powtórnie, przeniosłem się myślą do chwili, gdy razem z biednym Tomaszem siedzieliśmy obok siebie, w tymże samym teatrze, oczekując ze drżeniem i obawą na rozstrzygnięcie się losów nowej sztuki. Biedny Tom! Smutna melodia uwertury zdawała się jęczeć, jak wiatr, wiejący nad jego grobem. Biedny Tom! A jednak miłość jego była od mojej szczęśliwsza! Lepiej bowiem jest umrzeć z ciepłym pocałunkiem Klaryssy na ustach, niż żyć, nosząc wspomnienie o nim w głębi serca.

Wzruszająca muzyka ucichła i rozpoczęło się przedstawienie sztuki.

Jak na premierze, przy początkowych scenach tragedii, zgromadzeni w sali słuchacze nie okazali najmniejszego zajęcia się dziełem. Dziś jednak wiadano, że na dodatek i silne wrażenia czekać należy, więc czekano na nie cierpliwie. Dopiero, gdy głos Klary zabrzmiął swoim czarownym dźwiękiem, oczy wszystkich zwróciły się na scenę. Gdy zaś, po wypowiedzeniu dość długiej tyrady, umilkła nagle, cała sala zatrzęsała się naraz od grzmiących oklasków.

Ona stała na proscenium, pogodna i jaśniejąca, jakby męczarni cierpień serdecznych nie zaznała nigdy. Nie wierzyłem oczom moim. Na jej przepięknej twarzy nie można było dostrzedz ani śladów bólu, ani śladów łez. Czyżby w rzeczy samej nie miała serca?

Scena popołudniowa w jej mieszkaniu odżyła w mej pamięci i wypraszała dla niej sąd łaskawczy.

Stała ciągle jeszcze, dumna swoim pełnym chwałą tryumfem, oświetlona błyskotliwymi refleksami zakulisowych kinkietów, promieniejąca radością i świeżością swojej zachwycającej urody i uroczej młodości. Mogłem śmiało wątpić, czy Klaryssa Lambert i Klara Luttwell były w rzeczy samej jedną i tą samą osobą.

W zachowaniu się jej jednakże dzisiaj było coś, co koniecznie zauważyć musiałem. Nie spojrziała ani razu w kierunku mojej łóżki; przeciwnie, ciągle od niej odwracała oczy.

Zbiedzonemu i znużonemu memu mózgowi na rzuciła się nagle myśl, że grać musi w jakimś celu. Lecz jakim był ów cel, odgadnąć nie mogłem.

Bądźco bądź grała przepyszenie i chwilami oddawała się całej swojej sztuce. Jakkolwiek gra jej na pierwszym przedstawieniu dosięgła szczytu doskonałości, tym razem, zdało mi się, że przewyższa siebie samą.

W jednym z anaktów położyłem się za drzwiami łóżki następującą rozmowę dwóch nieznanymi mi osób.

— Co myślisz o jej grze? — pytała jedna.

— Co myślę? — odpowiedziała druga. — Cóż innego myśleć mogę, jeśli nie to, co myśli cała publiczność w teatrze. Wyższą jest talentem i wdziękiem od wszystkich aktorek, jakie kiedykolwiek widziałem.

Ona ciągle dalej nie patrzyła na mnie, chociaż pełniem zachwytu oczami ścigałem ją nieustannie. W głębi mej duszy coraz silniejszym stawało się przekonanie, że pod jej grą wspaniałą — a względem mnie nieludzką — kryje się jakiś cel tajemniczy. W tryumfującym jej głosie czułem zbliżanie się momentu, w którym urzeczywistnić go zamierza. Moment ten zbliżał się widocznie.

Kończyła się już tragedia.

Franceska uwolniła swego dawnego kochanka i wywiódłszy oboje uwięzionych z zbójckiej pieczary, sama tylko pozostała na scenie. Cisza oczekiwania, pełna niepokoju i wzruszeń, zaległa w widowni.

Wtedy Klara, po raz pierwszy zwróciwszy wzrok na mnie, gdy oczy nasze spotkały się nareszcie, wygłaszać zaczęła z nieopisaną rzewnością przedostatnie wiersze swej roli:

Tu się kończy wszystko: miłość, żądza, nienawiść,  
Oraz próżna wyrzuty... Sądzę, że tak lepiej!...  
Ojciec przebaczy łatwiej, ja łatwiej zapomnę  
O tym, którego przykuć do siebie nie mogłam.

Bądź szczęśliwy, mój drogi, w dniach, których ja z tobą  
Spędzać więcej nie mogę. Bądź szczęśliwy, kochanku!  
Bądź szczęśliwy i zapomnij...

Śmierć mnie nie przestrasza.  
Nie dla mnie jest okrutna. Sama ja sobie zadam  
Ostrzem tego sztyletu. Nie brak mi odwagi  
Do spełnienia ofiary. Spełnię ją z radością!  
Jak narzeczona z łobym, idąc do ołtarza,  
Szczęściem całą oddycha — tak i ja, szczęśliwa,  
Ręką w żelazo zbrojna... rękę życia ogniwa.

Co oznacza nagle i gwałtowne poruszenie się publiczności na sali? Co się dzieje, że wszyscy widzowie parterowi, zerwawszy się z foteli, patrzą z przerażeniem przed siebie? Dlaczego aktor, grający Sebastjana, wszedłszy na scenę po monologu Franceski, z okropnym krzykiem upadł przy jej ciele? Czem ocieka jej biała suknia? Czyżby krwią?

Tak, krwią!

Oparłszy się na przodzie łóżki, w mgnieniu oka wyskoczyłem na scenę i ukląknąłem przy ukochanej.

W chwili, gdy dzwon zakulisowy wzywał służbę teatralną do spuszczenia kurtyny, posłyszałem przerywną się przez ogólną wrzawę śmiech złośliwy, szyderczy, szatański i ujrzałem w łóżki, najbliższej mojej położonej, czarne, dyabelskie oczy żółtej pani, palające jak dwa żarzące się węgle.

Zasłona spadła.

## ROZDZIAŁ IX

## Co uczyniłem po opuszczeniu teatru.

Skonała, nie wymówiwszy ani jednego słowa.

Kłęcząc przy niej, starałem się nadaremnie zatać obfity upływ krwi. Oczy Klary, pełne wyrazu głębokiej miłości, szukały moich. Zdawało się, że pragnie wzrokiem przebić ciemną mgłę śmierci, ciążącą na powiekach i pokrywającą niemi cudne jej źrenice; że wargi jej, które zaledwie porusza przedzgonne drganie, chciałyby wyszeptać ostatnie słowo pożegnania.

Długie, przeciągłe westchnienie wyrwało się z jej piersi... Nie żyła.

Niespełna minutę trwała agonja. Na ciepłych jeszcze ustach złożyłem pocałunek, na bladą twarzyczkę zarzuciłem płaszcz biały... i wybiegłem z teatru.

Nie czułem się owładnięty uniesieniem, które mną miotalo, gdy byłem u niej dziś popołudniu. Nic nie odczuwałem... Przekroczyłem widocznie bezwiednie i niespodzianie granicę odczuwania żalu i zgryzoty; popadłem w odrętwienie i osłupienie, stokroć straszniejsze od wszelkiego niepokoju i rozpacz.

Ukochana moja nie żyje! Cała władza cierpienia, wraz z nią zamarała widocznie we mnie.

Bez płaszcza i kapelusza wybiegłem w noc chłodną na ulicę i nie zważając na ciekawy wzrok przechodniów, przyglądających mi się ze zdziwieniem, skierowałem w stronę Strandu szybkie kroki.

Olbrzymi tłum, tragicznym faktem podrażniony, wychodził z Colosseum, roznosząc po mieście wieść o samobójczym zgonie Klaryssy Lambert.

Coś niezwykłego musiało malować się w wyrazie mojej twarzy, wszyscy bowiem rozstępowali się przedemną, a ja, nie bacząc na nic i na nikogo, biegłem szybko jak szalony.

Księżyc wbił się już wysoko.

Zmarły bruk dzwonił mi pod stopami. Długa ulica, ze swemi gazowemi latarniami, połykającymi płomieniami żółtymi, wydawała się niemal białą w miesięcznej, jasnej atmosferze zimowej. Nie zwracałem jednak na to wszystko uwagi. Szedłem na zachód, bo dom, w którym mieszkalem, położony był w zachodniej stronie, a jakiś nieokreślony instynkt gnał ku niemu moje żwawo poruszające się nogi.

Nie miałem w duszy ani zamiarów, ani uczuć żadnych. W mojem pojęciu Londyn, w ciągu tej nocy okropnej, był ogromnym miastem śmierci, czemś w rodzaju olbrzymiego cmentarza.

Nagle zatrzymałem się pod jedną z latarni ulicznych i — pomimo chaosu, panującego w mojej głowie — zacząłem się zastanawiać. Ukochana moja umarła! Był to jedyny fakt, zajmujący myśl moją i ściśle przezemnie rozumiany, chociaż rozumienie to nie posiadało podkładu uczuciowego. Następnie zajęła mnie myśl druga: dlaczego miałbym i ja żyć dłużej? Lepiej było skończyć życie natychmiast.

Przejęty tą myślą ostatnią, zacząłem iść naprzód znowu.

Powoli... powoli, w miarę jak się poruszałem, zaczynał się w mózgu moim zarysowywać plan jakiś. Z początku niejasny, ogólny, później uzupełniający się szczegółami. Pójdę do siebie — myślałem — wezmę klucz mego dziada i pudełko cynowe z dziennikiem mego ojca, poczem udam się nad rzekę. Będzie to śmierć łatwa, a równocześnie pogrzebieć raz na zawsze wszelki ślad ponurej tajemnicy, przesłanującej mnie całe życie. Tajemnica i ja znikniemy razem. Wszakże tak będzie najlepiej!

Następnie bez żalu i żałowania, prawie z zadowoleniem, myślałem o słodkim szmerze, jakim rzeka powitała niegdyś miłość moją. Bez wątpienia takimże samym szmerem ukołysze mnie w chwili zgonu. Bo to przecież ta sama rzeka, tylko bliższa morza... morza wieczności, nie mającej ani początku, ani końca.

W miarę zastanawiania się, myśl ostatnia owładła coraz bardziej całym moim duchowym jestestwem.

Pod każdym względem będzie lepiej, gdy spełnię mój zamiar! Raz przecie położę koniec ścigającemu mnie przekleństwu. Serce rubinu jest krwią, a oczy jego są ogniem palącym, więc ogień i krew owdlać musi duszami tych, co go posiadają. Ogień stanie się na zawsze ich istnieniem, a krew ich dziedzictwem... Czy na zawsze? Nie. Rzeka zmyje krew i ogień ugasi.

Tekst znany, lecz zapomniany, zapukał niespodzianie do mojej pamięci: „Wody ziemi nie mogą zalać miłości, ani potoki jej zatopić“.

„Wody ziemi... wody ziemi“. Wyrazy te wydawały mi się jakby pomrukiem jakiejś modlitwy, przemocą wdzierającej mi się do uszu. „Wody ziemi...“ Takt ewangelicznego rytmu wybijałem na bruku stopami.

Dotarłem nareszcie do zamieszkiwanego przeze mnie domu.

Wdrapałem się pospiesznie na schody, wpadłem do mego pokoju, pochwyciłem klucz i pudełko cynowe — i zbiegłem do przedsiönka. Dzierżawca kamienicy, odnajmujący w niej lokale, zamykał właśnie bramę. Ujrawszy mnie, drgnął cały.

— Proszę jeszcze nie zamykać — rzekłem spokojnym głosem — bo zaraz wychodzę.

— Pan wychodzi? Zdawało mi się, że tylko co widziałem, jak pan powracał.

— Tak, lecz wyjść potrzebuję... mam ważny interes.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa musiał mniemać, że zwaryowałem i w rzeczy samej nie bardzo się mylił.

— Jakże pan tak wyjść może bez kapelusza i bez okrycia...?

— To prawda — odpowiedziałem. — Chciej pan z łaski swojej przynieść mi płaszcz i kapelusz.

Spojrzał na mnie zdziwiony, ale, nie namyślając się długo, wbiegł na schody. Gdy wrócił, rzekł do mnie:

— Służę. Nie mogłem znaleźć tych, które pan nosi zwykle.

— Nic nie szkodzi. Tamte pozostawiłem prawdopodobnie w teatrze.

Ostatnie słowa moje zamknęły mu usta.

Milcząc, dopomógł mi wdziać płaszcz na lekkie, wieczorowe ubranie, które miałem na sobie. Klucz i pudełko cynowe włożyłem do kieszeni.

W chwili, gdy wychodziłem, dzierżawca domu odzyskał mowę.

— Kiedy pan powróci?

Zapytanie zdziwiło mnie. Wahałem się kilka sekund, co mam mu odpowiedzieć.

— Pytam o to, bo widzę, że pan niema klucza od bramy. Przypuszczam, że go wraz z tamtym płaszczem pozostawił pan w teatrze. W takim razie chciałbym wiedzieć...

— Mniejsza o to — odparłem. — Proszę nie czekać na mnie. Wątpię, abym przed rankiem powrócił do domu.

To mówiąc, wyszedłem, pozostawiając go stojącego przy bramie i wsłuchującego się w odgłos moich kroków, tętniących donośnym echem w opustoszałej ulicy.

„Przed rankiem!...“ Zanim ranek zaświta, będę już w innym świecie.

Nagle porażony zostałem myślą, że mógłbym w nim nie spotkać się z Klarą. Pozbawiła się życia... i ja to samo wkrótce uczynię. Sprawiedliwość wyższa karze podobno grzech samobójstwa! Lecz nie, nie! Niebo przebaczy jej niezawodnie; nie potępi mojej ukochanej... lecz dla mnie, jak sądzę, nie będzie mieć zbyt łaskawej wyrozumiałości...

Wybuchnąłem głośnym i gorzkim śmiechem.

Pogrążony ciągle jeszcze w przykrem osłupieniu, znalazłem się nad wodą.

W lecie nabyłem łódkę, w której wraz z Klarą odbywaliśmy częste wycieczki po rzece, pomiędzy Streatley a Pangbourne. Łódkę tę, gdy zbliżała się zima, ściągnąłem w dół rzeki i oddałem na przechowanie pewnemu przewoźnikowi, który ją umieścił w swojej szopie, położonej powyżej Westminsteru. Tam odpoczywać miała aż do wiosny, a gdy nastaną dni pogodne, służyć nam obojgu do nowych i dalszych wycieczek.

W głębi serca składałem teraz niebu dzięki, że szczęśliwy wypadek pozwolił mi ją umieścić tak blisko.

Przebiegłszy istny labirynt krętych i ciemnych, niemal wcale nieoświetlonych uliczek, stanąłem nareszcie przed drzwiami domku przewoźnika i zapukałem do nich silnym uderzeniem pięści.

Rybak, znużony całodzienną pracą, leżał prawdopodobnie w łóżku, bo czas jakiś zarówno pukanie